ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. Stycznia. **№ 1.** **Roku 1855.**

WIOSKA.

Sceny wiejskie z pism Oktawa Feuillet.

O S O B Y:

Jerzy Dupuis, dawniéj Notaryusz; wiek 60 lat, czoło łyse, oko łagodne ale żywe; ubior z staroświecka.

Regina Dupuis, jego żona; wiek 55 lat; niska, kragłutka, ruchliwa, ubior czarno.

Tomasz Rouviére, wiek 60 lat; strój wykwintny, broda w wachlarz, mowa głośna, nieco przesadna.

Maryanna, stara sługa.

Scena w Colentin w domu p. Dupuis.

Pokój jadalny, obicia i porządki z wieku Ludwika XV; nad kanapą zégar szylkretowy wysadzany bronzem w tym samym stylu, między oknami barometr; kilka portretów w perukach pudrowanych z listem w ręku. Na koniec drugi zégar pod szkłem z czasów cesarstwa, obok dwa wazony lepionych kwiatów; daléj po stolikach i pod szkłem pełno drobnostek w przestarzałym smaku.

Pora zimowa, wieczór, godzina szósta. Jerzy Dupuis, pani Dupuis i Rouviére u stołu przy kominku. Maryanna krząta się i usługuje. Kot biały duży obłazi w około stołu.

Pani **Dupuis.**

Ale powtarzam Panu Mości Rouviére, myślałam prawdziwie że się pali, istotnie pali!... Daj pokój Minetka!... Przeskakiwał po cztéry schody i wołał: wszakto Tomasz! Tomasz Rouviére! ten chwat nie Tomasz!... Przepraszam Panie Rouviére, ale wiesz to są jego słowa. Ja za nim biegłam zadyszana, i wołałam, ale nie, prędzéj Pan de Luc z swoim powozem nowym... bo mi Pani Le Rendu powiadała, że dziś pan de Luc jest na obiedzie w Semonville, a że nigdy nie przejeżdża przez Saint-Sauveur, by nas nie powitał, słusznie myślałam że....

Dupuis.

Ależ moja duszko, coż-to Rouviéra obchodzi? nie zna ani pana de Luc ani panią Le Rendu; wszak prawda?... A potem, wiesz że Pan de Luc trzyma konie i pocztą nie jeździ, zatem to nie mógł być on.

Pani **Dupuis.**

Bądź co bądź, coż chcesz, tak myślałam.

Dupuis.

Mniejsza o to moje życie.... spędź-no kotkę... naprzykrza się Rouviérowi.

Pani **Dupuis.**

Precz Minetka, coż-to znowu mościa Panno?.. Przyznajże sam mój mężu, że łatwiéj było mi spodziewać się pana de Luc, sąsiada, niżli pana Rouviére, którego nie znałam, i tyś sam o nim już od trzydziestu lat nie słyszał.. Na zgodę.. niech nas Pan sam osądzi.

Rouviére *(widocznie zniecierpliwiony).*

Za Panią prawda, za Panią sto razy!.. Ale Boże zmiłuj się! co ja widzę Pani Dupuis, kotlety w chlebie obsmażane.

Pani **Dupuis.**

Mój Boże, i to jeszcze ja sama kazałam obsmażać Jeanecie!.. Myślałam że będą lepsze.

Rouviére.

A to zgroza, moja Pani, kto dziś kotlet obsypuje?.. już minęło z buchastemi rękawami. Zgorszenie; opatrzność wam dała do kuchni co jest najsoczystszém w świecie — jagnię szczére.. a państwo to zarabiacie chlebem. Okrążyłem świat cały i trzeba było dopiéro zjechać do Saint-Sauveur-le-Vicomte, ażeby widziéć jagninę obsmażaną w chlebie.

Pani **Dupuis.**

Żal mi bardzo! ale może łososia mości Rouviére? Miewamy rybę raz na tydzień; mój mąż lubi, więc umówiłam się z rybakiem w Portbail, i dostajemy co środa jedno danie w przyczynku; szczęściem dziś środa...

Dupuis.

Dobrze już dobrze, Regino! ale proszę cię coż-to ma obchodzić pana Rouviére. *(żywo)* Powiedz mi Tomciu! Gdzieś przebywał o téj porze temu tydzień?

Rouviére.

Tydzień temu, bracie... byłem w Dublinie.

Dupuis.

W Dublinie? patrzcie!... a to czarownik nie Tomasz!

Rouviére.

Z Dublina do Londynu, z Londynu do Jersey — i oto mnie masz.

Dupuis.

I to w Jersey wpadłeś na myśl szczęśliwą zawitać w progi dawnego kolegi?

Rouviére.

Wczoraj rano, mój bracie. Czekałem na śniadanie w hotelu, gdzie stanąłem; tymczasem od niechcenia oglądałem mapę Normandyi i wpadło mi w oko nazwisko twojéj wioski: Saint-Sauveur-le Vicomte — Saint-Sauveur! wszak-to jeźli się nie mylę, pomyślałem, mieszkał tam niegdyś Jerzy Dupuis... mój kochany Jerzy! więc jeźli żyje, dalibóg, wstąpię do niego mimochodem na obiad...

(rozpatruje się po stole).

Pani **Dupuis** *(usłużnie).*

Każe pan co panie Rouviére?

Rouviére.

Wcale nie, proszę pani.... *(podnosząc głos).* Maryanno!.. wszak Maryanna się nazywa pokojowa pańska?.. Maryanno, moje dziécię, nie masz tam cytryny? łosoś prosi.

Pani **Dupuis** *(biegnie do kredensu).*

Pozwól Pan, pozwól, oto jest.

Rouviére.

Ah, Pani! stokrotnie przepraszam.

Pani **Dupuis.**

Więc już trzydzieści lat Panie Rouviére, Pan się po świecie wozi jak wieczny tułacz?

Rouviére.

Nie inaczéj, moja Pani.

Pani **Dupuis.**

Boże! mnie by się sprzykrzyło.

Rouviére.

Wierzę; ale oryginał, jak mnie państwo widzicie!

Pani **Dupuis.**

Musiałeś Pan, mości Rouviére po drogach jadać dziwne rzeczy?..

Reuviére *(je i prawi).*

Niesłychane rzeczy, Pani! Ah! Maryanno! słuchaj-no moje dziécię... jeżli mnie zapach nie myli, palą kawę w kuchni, zwykle ją przepalają, a najczęściéj po domach wiejskich, to jéj odbiéra całą woń i aroma. Biegnij Maryanko do Jeannety... wszak Jeanneta się nazywa?... niech kawę tylko przyrumieni, rozumiesz, przyrumieni?

Maryanna *(półgłosem wychodząc).*

Hm! co drugim, to jemu nie do smaku!

Rouviére.

Wié Pani, dostało się w pieczystem, to czego się obawiam z kawą... przepieczone, a raczéj spiesznie przypiekane, a szkoda, bo kura wcale nie zła.

Pani **Dupuis** *(zmartwiona).*

Wszystko złe naraz! Daruj Pan mości Rouviére... zjechałeś nas Pan niespodzianie.... mało mieliśmy czasu... ale zabaw dni kilka, a zobaczysz Pan że wszystko pójdzie lepiéj; ręczę.

Rouviére.

Dobra, najlepsza Pani! ale dziś o dziewiątéj bez uchyby i chwiiki, muszę ruszać... Tak Pani! możesz powtórzyć, że po drogach jadałem rzeczy niesłychane! Pod namiotami Arabów jadałem kuskusu, nad brzegami Gangesu kurry, co pali jak ogień, na wybrzeżach Jawy tripangi, tyle co śledź tamtejszy, w Chinach sławne gniazda jaskółcze w oleju rycinowym.

Pani **Dupuis.**

O nieba!

Rouviére.

W Panamie jadałem kotlety małpie... Ba! niema może jadła na świecie, któreby już te zęby nie żuły.

Dupuis.

A to, dzielny Tomasz!

Rouviére.

Za to też jeżli jest gdzie pod słońcem gość nie wymyślny, to pewnie ja... Indyanie znad gór kordelirskich... przecież to dzicz, ale przenikliwość w nich nadzwyczajna... otóż mówię Indyanie przezwali mnie swoim językiem, co znaczyło: „Wesoły brzuch...“ Zawsze rad, wreszcie w pożyciu łatwy!

Rouviére.

Dzielny chwat Tomasz.

Pani **Dupuis.**

Pozwolisz Pan trzeciego bekasika Panie Rouviére? Radam że Panu smakują.

Rouviére.

Stokrotne dzięki Pani. Prawda lubię bekasiki, nie przeczę, lecz przyznam się że te tu nie są bez ale, najprzód za świéże, potem zapomniano je popieprzyć troszkę, bez tego bekas nie może być... A to co! ciekawym, przebacz Pani, nic mnie jeszcze nie zastanawiało tyle co to na patelni... Święci pańscy, co to jest?

Dupuis.

To przyjacielu, kazałem umyślnie dla ciebie, to makarony.

Rouviére.

To makarony, to?

Pani **Dupuis.**

Tak jest Panie Tomaszu... pamięć w tém Jerzego... przypomniał mi że przebywałeś często we Włoszech... posłałam zaraz do sklepu, szczęściem znalazło się jeszcze trochę w zapasie; moja Jeanneta głowę straciła, więc ja sama wzięłam się i według „kucharki doskonałéj“ sporządziłam na włoski sposób.

Rouviére.

Na sposób włoski! ależ Pani, to nigdy Włoch nie widziało, nigdy, nigdy! — Wreszcie, może i ujdzie; sprobujmy!

Dupuis *(po chwili)*.

A co? jakże?

Rouviére *(zajedzony)*.

Gryzie się jak piszczałki od organów. Oh! dalibóg! to trzcina nie makaron, skamieniał czy co!.. uwięzić tego makaroniarza, człek-to podejźrzany.

Dupuis.

Maryanno, prędzéj panu odmień talérz. Ah! przyjacielu przebacz, złyś miał obiad.

Rouviére *(serio)*.

Żartujesz! Ale co wino, masz przednie.

Pani **Dupuis.**

Ja... nie wiem co mówić... ale zginę ze zmartwienia... Panie Rouviére, przynajmniéj skosztuj mego placuszka z ryżu, zaklinam Pana.

Rouviére.

Z ochotą Pani... tylko dojem téj konserwy gruszkowéj — wcale byłaby doskonała, byle nie tak tłusta.

(Słychać że dzwonią).

Pani **Dupuis.**

O dla Boga! już Anioł Pański! *(wstaje)*. Za pozwoleniem, panie Rouviére... odchodzę na chwilę, ale wrócę zawczasu.

(Bierze płaszczyk z komody).

Rouviére.

Jakto! Pani wychodzisz na taki czas? wszak tam śniegu po kostki... wié Pani?

Dupuis.

Już-to moja żona na Anioł Pański nie opuści kościoła, chodzi co wieczór zima i lato, słota czy pogoda; co chcesz, przywykła od lat pięndziesiąt, trudno odmienić.

Rouviére.

Ah! bardzo pięknie;... sądzę że ksiądz pleban rad takim owieczkom, a Pani jemu.

Pani **Dupuis.**

I bardzo mój Panie; zacny-to mąż! Ot! zabaw Pan u nas do jutra, będzie na obiedzie, i pewnie nie pożałujesz, że go poznasz.

Rouviére.

Wcale nie wątpię Pani Dupuis, przekonanym; ale to już na poźniéj... na poźniéj.

Pani **Dupuis.**

Jerzy, przyczyń-że ty się za mną, a pamiętaj, Pan Rouviére przyrzekł skosztować placuszka z ryżu... Ah! Panie, zalecam i konfitury moje... Sama je smażę, i troszkę chlubię się z tego... Do widzenia mój drogi Panie.

Rouviére.

Do widzenia Pani, do widzenia.

(Pani Dupuis odchodzi).

Rouviére.

Ah! ah!.. hm! bierzmy się do ryżu. — Troszkę dewotka twoja żona. Hę?

Dupuis.

Troszkę.... ale jéj dewocya nikomu nie szkodzi, i mnie zostawia jakim jestem. — Pij-że, przyjacielu, nie pijesz nic! *(spuszczając oczy)*. Jakże ci się wydała, mów szczerze Tomaszu, moja żona, zakuta wieśniaczka, nie prawdaż?

Rouviére.

Ależ nie, wcale nie.

Dupuis.

Grzecznyś. Cóż robić? Nie wylatywało to z gniazda!.. A potem twój przyjazd zmięszał ją.... nie wiedziała co mó-

wi.... pletła koszałki opałki, całe koronki plotek do unużenia.

Rouviére.

Gdzież znowu.

Dupuis.

Ależ tak jest! nie gadaj.... Męczyło cię, bo i mnie.... Jakby się uwzięła wystawić co w niéj najgorszego.... złości mnie porywały, przecież ma tyle dobrych zalet, czasami dziwił byś się.... biedaczka!

Rouviére.

Ani wątpię kochanku, ani wątpię bynajmniéj... jéj ryż był przedziwny, zaręczam.

Dupuis *(z gniewem na kotkę).*

Ruszaj Minetka! utopić każę bestyę. *(do Maryanny co wchodzi)* Weź tego kota, bo oknem wyrzucę. Przynieś kawy, i zostaw nas.

Maryanna.

A więc, chodź, chodź Bieluszko, kiedy panowie paryscy tobie nie radzi.... *(półgłosem wychodząc).* Hm! gotów cały dom wywrócić, ten Ostrogota!

Rouviére *(bierze szczypce, poprawia na kominku i nuci).*

O bell'alma innamorata!.... o bell'alma innamorata!.. Czy macie teatr w Saint-Sauveur, macie?

Dupuis.

Teatr? Zabawnyś!.... Teatrem u nas jarmark coroczny na środopoście.

Rouviére.

Tam do kata.... a coż wieczorami?

Dupuis.

Wieczorami! zimą pogadanka przy kominku, czasami zagra się pikiety z żoną, albo wista z sąsiadami....

Rouviére.

Aj!.... i z księdzem proboszczem jakbym widział!

Dupuis.

A i z księdzem proboszczem czasami. Latem, podlewam kwiatki w ogrodzie.... potem przechadzka poza gumienki — albo do lasku nad rzeczką.... a zresztą tu wcześnie kładą się spać!

Rouviére.

Hm!.... Wszystko-to bardzo przyzwoicie!

(Chwilkę milczy, Maryanna prząta ze stołu).

Dupuis.

Przecież jesteśmy sami! podaj dłoń niech ci uściskam kochany Tomciu, stary koleżko! Ale pijże Tomaszu, nie pijesz nic! Ty chwat! skosztuj-no i powiedz co to za likwor.... W ręce twoje! — Wiesz ty że już trzydzieści pięć lat jakeśmy się nie widzieli?

Souviére.

Niestety! tak, trzydzieści pięć lat jakeśmy się żegnali — ulica Montmartre przy poczcie — przysięgliśmy wieczną pamięć.... korespondencye słusznie ustały we dwa lata;... ale przyjaźń do grobowéj deski... Przedziwny masz likwor!

Dupuis.

Smakuje ci? brawo... Eh! dalibóg, są jeszcze chwile słodyczy na tym świecie, przyznaj Tomciu!

Rouviére.

Mnie to mówisz? bratku.

Dupuis.

Komuż lepiéj, kochanie! Czyś cyrograf podpisał, czy co Tomaszu! zawsześ ten sam młody, hoży... „Byłem młody i hoży!“ przypominasz sobie Talmę jak on to mówił?.. Wyglądasz jak lew z gór Atlasu, broda i wąsy.. zupełnie jak Henryk IV... Wychyl-no resztę mój luby.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

OSOBY:

Rodryk, Hrabia Lukano.
Manfred.
Noema, Hrabina Lukano.
Opat.
Urban, } Mnichy.
Marek, }
Braciszek.
Klotylda, Ochmistrzyni Noemy.
Teresa, Pokojówka.
Hugo, Wysłużony sługa Noemy.
Pietro, Dworski.
Giermek.
1. Majtek.
2. Majtek.
Diavolo, } Zbójcy.
Malatesta, }

Rycerstwo, Mnichy, Majtki, Rybacy, Zbójcy.

Rzecz się dzieje w Sycylii w czasach Hohenstaufów.

Akt I.

Scena 1.

Krużganek Klasztoru Świętokrzyskiego. Po lewéj stronie wielkie gotyckie okno, oświecone łuną błyskawic. U sklepienia zawieszona żelazna lampa. Noc i burza.

Urban i **Marek** *(zatrwożeni wchodzą, każdy z innéj strony).*

Urban.

Straszna noc bracie Marku — do koła grzmi, (łyska —
(Silne uderzenie piorunu).
Chryste ratuj! Słyszałeś? Gdzieś tu upadł zbliska.

Marek.

Słyszałem i umarli posłyszeli w grobie,
Strach mnie bierze — choć jakoś raźniéj mi przy (tobie.
Mów bracie, niech przynajmniéj słysze głos czło- (wieka.

Urban.

Rzekłbyś, że wszystko rychłéj zagłady swéj (czeka,
I że Bóg straszną plagą świat występny karze.—
Właśnie byłem w kościele przybierać ołtarze —
Nagle przed męką Pańską wiatr rozdarł zasłonę,
A oko Zbawiciela jakby ożywione,
Wejźrzało dziwnie — groźnie — aż mi krew za- (stygła....
Myśl Boża w ostrzeżeniach swoich niedościgła!

Marek.

Ja byłem na cmentarzu — noc zdała się cicha
Aż tu w blizkich zaroślach, coś żałośnie wzdycha:
Mdławe światełka cmentarz okrążyły cały —
To nikły, to znów rosły — nagrobki zbielały,
Cień cyprysów ruchome przybierał postaci
Jak gdyby wyszły z grobów duchy naszych (braci....
Uciekłem przerażony....

Urban.

Jawny palec Boży!
Świątobliwy nasz Opat cuda te wyłoży,
W których się objawiła grożąca nam plaga
On właśnie.

Opat.

Pokój z wami. — Burza wciąż się wzmaga.—

Marek.

Żaden z nas okropniejszéj w życiu niepamięta.

Opat.

Bóg rządzi żywiołami — wola Jego święta.

Urban.

Ojcze, mądrości twojéj umocnij nas słowy.

Opat.

Siła i wsparcie płyną z łaski Chrystusowéj,
Téj i ja bracie przed chwilą błagałem pomocy
Dla biednego wędrowca, zbłąkanego w nocy
Śród przepaści gór naszych, dla ubogiéj matki,
Tulącéj dziecię w ścianach chwiejącéj się chatki,
Dla rybaka, co łódce żywot swój powierzył
I do portu nie pośpiał. — Gdy piorun uderzył,
Pomnąc na sądy Boże, nagłe i surowe,
Wezwałem miłosierdzia i na własną głowę.—
(Burza się wzmaga).

Urban.

Wicher w ciemnych krużgankach wyje rozhu- (kany,
Chwieją się, acz na skałach osadzone ściany:
Podołająż téj burzy?

Marek.

Burza mury złamie. —

Opat.

Korzmy się bracia, Pańskie naciska nas ramię.

Marek.
O! nie Boża w tém, Ojcze, lecz szatańska sprawa
Patrz jak na niebie łuna rozciąga się krwawa —
Nie zwyczajna to burza, złych duchów niesnaski
Ścierają się w tych chmurach i piekielne blaski
Połyskują w tych ogniach — nie burza to zwykła
Z którejby potem trwalsza pogoda wynikła....

Opat.
Milcz! — milcz! — Bluźnisz! człowieku próżny i (zuchwały
Ściągasz Pańskiego łuku gorejące strzały,
I bezbożnie tłumacząc te znaki złowieszcze,
Wywołujesz na braci większe klęski jeszcze —
Przestań na Boga przestań! Precz bluźniercze (mowy
Do tylu okropności nie przydawaj nowéj.
(Jeden z Braciszków wpada przerażony).
Zkąd bieżysz tak strwożony?

Braciszek.
Niosę wieść straszliwą.

Opat.
Mów Synu!

Braciszek.
Jakiż widok okropny

Opat.
Kończ żywo!

Braciszek.
Szedłem z pochodnią w ręku na morkie wybrzeże,
W nadziei że jéj rybak spóźniony dostrzeże,
Wtém widzę okręt, burzą pędzony tu nagle —
Piorun zgruchotał maszty, wiatr rozszarpał ża- (gle
A burza nim miotając jak fraszką bezwładną
To ciskała w obłoki, to wciągała na duo. —
Pokład był zatłoczony, częste błyskawice
Zbladłego tłumu dziko wyświecały lice
A krzyk rozpaczy, z którym pomocy wołali
Dochodził z hukiem gromów i ryczącéj fali....

Opat.
Zwołać ludzi!

Braciszek.
Daremnie ojcze!

Opat.
Wielki Boże!

Braciszek.
Żadna usilność ludzka już im niepomoże
Za kilka chwil snem wieczném zasną na dnie (morza:
Zguba ich nieuchronna. Powstające zorza
Rozbitego okrętu ujźrzą tylko szczęty.

Opat.
Boże, w cudach mądrości Twojéj niepojęty,
Oświeć mojego ducha, na bliźnich ochronę!....
Wszystko jeszcze podobném, wszystko niestra- (cone —
Każcie uderzyć w dzwony—niech co żyje bieży;
Pozawieszać kagańce na murach, na wieży —
Nadbiegną ostrzeżone w sąsiedztwie rybaki.
Wy poznoście co żywo żerdzie, sznury, haki,
W przerwach grzmotów posłyszą krzyk wasz (nieszczęśliwi
Światło z ziemi zwątpiałe serca ich ożywi:
Nadzieja wraca siłę — a ta ich ocali
Wszystko jeszcze podobném. — Daléj dzieci, (daléj!
Bieżcie wszyscy, za wami pospieszam bez zwłoki.

Braciszek.
Przebóg! Ojcze co czynisz? Wstrzymaj twoje (kroki
Chcesz na brzeg śliski drżącą zapuszczać się (nogą,
Gdzie i młodsi zwinni ledwie dostać mogą?

Marek.
Żarliwość cię zaślepia.

Urban.
Nie wyzywaj Nieba!

Opat.
Nieznam siebie, gdy bliźnim pomoc nieść po- (trzeba.

Marek *(wchodzac, do Urbana).*
Nic sobie z téj wyprawy dobrego nie tuszę.

Scena 2.

Dzika skalista okolica. — Po lewéj stronie nad przepaścią część murów Klasztoru: na wieży goreją światła. — Odgłos dzwonów mięsza się z hukiem grzmotów. — W głębi rozhukane morze: przy łunie błyskawic dostrzegać się daje okręt, osadzony na skale, i blizki zupełnego rozbicia. Ludzie okrętowi skupieni na pokładzie wyciągają ręce z rozpaczą. — Opat prowadzony przez Braciszka schodzi skalistą ścieżką: Mnichy z pochodniami, żerdziami i sznurami, rozstawiają się po skałach.

Opat.
Przebóg jak im nieść pomoc?

Urban.
Módl się za ich dusze
Chwile ich policzone.

Opat.
Gdybyć moje modły,
Wsparte wszechmocną łaską wróżby twe za- (wiodły
I ocalić ich mogły! — Lecz patrz — patrz jak fale
Podważają już okręt przybity na skale —
Nadzieja nie stracona — mogą bydź zbawieni! —

Urban.
Nadzieja cię uwodzi, los się ich niezmieni

Opat.
Niechże ich Święci Pańscy od śmierci ustrzegą.

Marek.
Święci słuchać cię nie chcą — przemaga duch (złego
Burza wściekłość podwaja i okręt rozsadzi. —

Urban.

Pójdź — wszak widzisz że pomoc nieść jesteśmy (radzi —
Daremnie! Anioł śmierci krąży nad otchłanią —
Pójdź nim wrzaski topielców serce twe rozranią—
Idźmy, modlić się za nich u stopni ołtarzy.

Opat.

Nie odejdę, dopóki ostatni z żeglarzy
Pasujący się z falą, utrzyma się na niéj
Dopóki głos choć jeden wzniesie się z otchłani.

Mnichy *(rozrzuceni po skałach).*

Toną! toną!...

(Krzyk straszliwy rozlega się w powietrzu, okręt zapada się w morze).

Marek.

Pochłonął wszystko wir głęboki!

Opat.

O! Panie! któż tajemne Twe zbada wyroki!

(Pada omdlały na ręce Mnichów).

Scena 3.

(Krużganek jak w piérwszéj scenie).

Urban i Marek *(wprowadzają osłabionego Opata).*

Urban.

Odzież twoja przemokła — siły twe opadły

Opat *(sam do siebie).*

Wszyscy zginęli!

Marek.

Spocznij — jesteś drżący, zbladły,

Opat *(sam do siebie).*

Wszyscy!

Braciszek *(wbiegając).*

Jeden ocalał wisząc nad otchłanią,
Już się pasował z falą, już się zdawał na nią,
A byt jego przechodząc przez gwałtowne zmiany
Stokroć był zatracony, stokroć zachowany —
On jakby igrał z burzą pewny, że nie zginie —
Jego téż ocaliła nawalność jedynie.

Opat.

Gdzie jest? spieszcie!

Braciszek.

Czekajcie! Już się tutaj zbliża.

(Dwaj Zakonnicy wprowadzają nieznajomego upadającego na siłach).

Opat.

Cudem wydarty z toni, wznieś oczy do krzyża
Pod którego wezwaniem dom ten Boży stoi —
On cię wsparł, gdy ginęli towarzysze twoi;
On ci śmiertelne trwogi weselem opłaci.

Braciszek.

Słowa dotąd nie wyrzekł.

Nieznajomy *(oglądając się na wszystkie strony w osłupieniu).*

Gdzież jestem?

Opat.

Śród braci,
W Opactwie Świętokrzyskiém — w Messyńskiéj (odnodze
Blizko zamku Lukano....

(Na wyraz Lukano Nieznajomy zrywa się gwałtownie, ale go siły zawodzą i opada bezwładnie na ręce Mnichów).

Może się uwodzę,
Ale twe poruszenie już mi poznać dało
Żeś nie obcy w tych stronach... Kto jesteś? mów (śmiało.

Nieznajomy.

Nieszczęśliwy.

Opat.

Tém bardziéj zwierz mi troski twoje:
Nędzę twoją zasilę, trwogi uspokoję, —
Jakaż ponurych żalów może bydź przyczyna?
Straciłżeś w morskich głębiach ojca, brata, (syna? —
Miałżeś wydarte sobie tą burzą straszliwą
Przedmiot czułości twojéj, czy prac twoich żni- (wo?
Płaczesz na własną nędzę, czy niedolę czyję?....

Nieznajomy *(odpowiada poruszeniem głowy, że nie).*

Czegoż tedy rozpaczasz? mów synu!

Nieznajomy.

Że żyje —

Opat.

Trwoga zbłąkała umysł, lecz z czasem ochłonie
W czémże ci pomódz można?

Nieznajomy.

Wrzućcie w morskie tonie —
Zbrodnia wasza zostanie....

Opat.

Więcéj cierpi dusza
Niż ciało. — Myśl tajemna wargi mu porusza,
Wzrok jego w jakiś przedmiot wrył się obłąkany.
Przedmiot widać okropny, jemu tylko znany
Próżnobyśmy w téj chwili pocieszać go chcieli,
Odprowadźcie go spiesznie do podróżnéj celi
Niech wypocznie, rozmowa jątrzy go i trudzi.

Nieznajomy *(usiłując wydrzeć się Mnichom).*

Precz ludzie! precz mi z oczu! Nienawidzę lu- (dzi. —
Puszczajcie mnie! Wasz widok wstręt obudza (we mnie.

(Opadając bezwładnie na ręce Mnichów).

Bezsilny! chcesz się oprzeć? daremnie! — da- (remnie! —

(Mnichy wynoszą Nieznajomego. Opat wychodzi za nimi zanurzony w rozmyślaniu).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.